

IPN BU 644/1574

**Z JERZYM KALINĄ, TWÓRCĄ WYSTAWY „MARTWE TUSZE”,
ROZMAWIA JAN M. RUMAN**

J.R. – Co pana zainspirowało do stworzenia instalacji „Martwe tusze”, której znaczącą częścią jest numer katalogowy „IPN BU 644/1574”?

J.K. – Zareagowałem na to, że znalazłem się, tak jak bardzo wiele osób, na tej „liście hańby”...

J.R. – I chwałę, bo – oprócz esbeków i ich agentów – są na niej przecież osoby, które były inwigilowane, które próbowano zwerbować i nie poddały się...

J.K. – Różnie można odczytywać tę listę. Niektórzy uważają wręcz, że skoro na niej są, to dobrze, bo przecież coś robili i SB się tym interesowała, jakby ich nie było, to byłoby to bardziej podejrzane. Bo zastanawia to, że wielu osób z czołówki zarówno bezpieki, jak i opozycji nie ma na tej liście. Można odnieść wrażenie, że osoby, które były ważnymi agentami, zostały wyczyszczone wcześniej do zera. Na liście jest natomiast wiele osób o mniejszym znaczeniu: z jednej strony drobnych donosicieli, a z drugiej – ludzi, którzy byli inwigilowani i odnotowywani przez esbeków jako kandydaci na TW. W jakiejś mierze rozumiem Bronisława Wildsteina, który jest człowiekiem wrażliwym, dlatego zdecydował się na desperacki czyn, żeby przerwać to, co jest skutkiem grubej krechy, to wymieszanie agentów i ich ofiar. Ta gruba krecha ciąży na całej naszej rzeczywistości. Nie można stawiać domu na bagnie! A u nas przez kilkanaście lat nie zrobiono nic, żeby jasno oddzielić ofiary systemu od jego agentów. A przecież nie ma nic bardziej obrzydliwego niż donoszenie na najbliższych przyjaciół. Jeżeli się zdenerwowałem, to tym, że na tej liście znów wszystkie kategorie są wymieszane... Najgorsze jest to, że jest to spóźniony moment oczyszczenia.

J.R. – Co pana najbardziej oburzyło?

J.K. – Sprowadzenie do numeru, i to jest tematem tej wystawy. Po latach okupacji powrócił numer, jak w obozie koncentracyjnym. Został mi przyznany numer i to jest forma identyfikacji mojej osoby.

J.R. – Ale to nie teraz został pan sprowadzony do numeru.

J.K. – Oczywiście rozumiem to, że numerem stałem się dla SB, a teraz to tylko ujrzało światło dzienne, ale w rozmowach z przyjaciółmi, spotykając się w pracy, powracamy teraz, po latach, do atmosfery tamtego czasu. A ja myślałem, że się już rozstałem z tym wszystkim, i w swojej sztuce

Jerzy Kalina, fragmenty szkicu do instalacji „Martwe tusze”

ROZMOWY BIULETYNNY

zaczęłam interesować się sprawami niezwiązanymi z wydarzeniami politycznymi. Wcześniej, od początków studiów, tematy polityczne były dla mnie bardzo istotne. Jako student przeżyłem Marzec '68, potem nadeszły czasy „Solidarności”. Te wydarzenia wymusiły na nas, twórcach, opowiedzenie się po konkretnej stronie. One zmusiły nas do powiedzenia, czy działamy na rzecz niepodległości państwa, a także wolności sztuki, możliwości wolnej artykulacji własnej osoby. Myśmiliśmy wtedy ciągle zastanawiali, czy za nasze twórcze realizacje odpowiemy sami, czy odpowie żona, ktoś z rodziny, najbliżsi, czy ktoś publikujący nasze dokonania. I dziś obawiam się, że ci, którzy nami wtedy próbowali manipulować, nadal podejmują takie próby. Trzeba oczyścić tę atmosferę. Trzeba uporządkować sprawy związane z życiorysami ludzi, uporządkować zaszłości z tamtego systemu. IPN ma tu bardzo ważną rolę do odegrania dla przyszłości Polski, dla przyszłych pokoleń. Jeżeli dyskutowano w Sejmie ciągle o odebraniu pieniędzy Instytutowi, czy nawet o tym, czy potrzebne jest jego istnienie, to teraz widać, że zaniechanie tych działań, jakie podejmuje IPN, sprawiłoby, że nadal ciążyłby na nas ten brud. Brakowałoby nam przejrzystego widzenia przeszłości. Bez naukowych opracowań IPN skazani byłibyśmy – tak jak człowiek bez pamięci, na jeden wielki chaos.

J.R. – Czy pan jest zainteresowany poznaniem zawartości swojej teczki?

J.K. – Złożyłem podanie i czekam na wyjaśnienie tego, czy ta sygnatura dotyczy mnie. Jeżeli to się potwierdzi, to od tej pory przy każdej realizacji będę się podpisywał: Jerzy Kalina, IPN BU 644/1574, bo to jest świadectwo czasów, w których żyłem. Przez ten numer powróciłbym jakby do czasów obozu, w którym wszyscy żyliśmy. Ale teraz nie jesteśmy już najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym, tylko dosyć ponurym, bo inne kraje potrafiły już uporać się z uporządkowaniem swojej przeszłości.

J.R. – Czego spodziewa się pan w swojej teczce?

J.K. – Od śmierci ks. Jerzego Popiełuszki do odzyskania przez nas niepodległości byłem kościelnym dekoratorem, zwłaszcza w kościele św. Stanisława Kostki. Przygotowywałem oprawę plastyczną pogrzebu ks. Jerzego, a później Mszy za Ojczyznę, świętą, a także innych uroczystości: pogrzebu prałata Boguckiego, Barbary Sadowskiej... Dbałem o wystrój podczas wizyty Busha. I wtedy wezwano mnie na rozmowę do którejś komendy, chyba tej przy cerkwi...

J.R. – ... przy ul. Cyryla i Metodogo, o której mówiono: Cyryl to Cyryl, ale żeby nie te metody...

J.K. – ... tak, to tam właśnie. Czekano na mnie dwóch panów. Przemaglowali mnie. Zastraszali mnie tym, że będę odpowiedzialny za krew,

kóra się tutaj poleje. Miała się ona połączyć między innymi przez takich jak ja i przez Kościół, który obrał niewłaściwą linię...

J.R. – Kiedy to było?

J.K. – W czasie kiedy przygotowywałem ołtarz papieski na placu Defilad, przed Pałacem Kultury...

J.R. – To był 1987 rok, wtedy nie pozwolono panu umieścić krzyża na Pałacu Kultury...

J.K. – ... bo pałac był darem Związku Sowieckiego.

J.R. – Czy były jakieś inne kontakty?

J.K. – Miałem kiedyś typową rozmowę werbunkową w 1974 lub 1975 roku, w kawiarni na rogu Marszałkowskiej i Królewskiej. Rozpracowany byłem fantastycznie, wiedzieli, jakie mam układy w pracy, jaką mam sytuację finansową, czy będę mógł funkcjonować na rynku warszawskim. Wiedzieli, że nie jestem zameldowany w Warszawie, że mam tylko pracownię na Pradze (do której kilka razy były włamania, ale nie łącząc tego z ich działaniami). Oni stworzyliby mi warunki, gdybym do nich przystąpił. Tłumaczyli mi: Pan jest inteligentny, pan umie się komunikować z ludźmi, chodźtoby o to, żeby od czasu do czasu zwrócił pan w pracy uwagę na pewne sytuacje. Odpowiedziałem im: Dajcie mi święty spokój, mnie interesuje sztuka i nie zamierzam z wami podejmować żadnej współpracy. I na tym się skończyło. Miałem jeszcze jedną rozmowę, kiedy chciałem wyjechać na wystawę za granicę. To już było pod koniec komuny. Poszedłem odebrać paszport na Malczewskiego, a oni mi go nie dali. Powiedzieli, że dostanę paszport, jak napiszę oświadczenie, że się wycofuję z pracy przy kościele św. Stanisława Kostki. Mało tego, chcieli, żebym po powrocie zdał relację z wystawy, bo obawiali się, że są na nią przygotowane „niestuszne” obrazy ośmieszające Jaruzelskiego – miał tam być obraz psa w ciemnych okularach... Oczywiście nie odebrałem paszportu i nie pojechałem na tę wystawę.

J.R. – Nie jest pan więc zdziwiony, że w materiałach ubeckich są jakieś ślady takich spotkań, że oni zbierali na pana jakieś informacje, ale jednocześnie jest pan spokojny, co tam się znajduje i do momentu ogłoszenia tzw. listy nie potrzebował pan zaglądać w swoją teczkę, żeby dowiedzieć się, kim jest.

J.K. – Oczywiście, że nie muszę się tego dowiadywać od esbeków.

J.R. – Powiedzmy więc kilka słów o samej wystawie. Zdjęcia, które zamieszczamy w numerze, nie pokazują wszystkiego, niedostatecz-

nie na pewno oddają, co na niej jest, jaka jest jej wymowa. Odważnie uczynił pan jej podstawą numer katalogowy pańskiej teczki.

J.K. – Teraz to już nie jest odwaga. To, że jest to numer katalogowy, nabiera szczególnego znaczenia w odniesieniu do artysty, dlatego na wystawie umieściłem mój katalog, przedstawiający dorobek mojego życia. I to jest nieważne, to jest przywalone kawałkiem silikonowej formy, używanej do odlewu pomnika. Takie formy, te „martwe tusze”, leżą też w kącie pomieszczenia. Podkreślam, że nie są to martwe dusze, bo dusza nie zamiera. W tej sytuacji nie ma martwych dusz. To są martwe tusze, formy używane do odlewu orła czy innych pomników chwały. To jest nasza codzienność, która została wywleczone na wierzch. To jest ta nasza zwykła historia, a raczej jej ochłapy, rzucone nam teraz znowu w pewnej ilości. Ogłoszona lista, to jest jeszcze pewien śmietnik, w którym nadal wymieszane są różne postacie. Ta wystawa jest moim odreagowaniem tego, że znalazłem się na tej liście. To jest doświadczenie wielu ludzi.

J.R. – Na ścianach umieścił pan sygnaturę teczki, ale przykrył pan ją szybami, na których są niewielkie fotografie, wykonane na porcelanie, jak na nagrobkach.

J.K. – Szyby mają powodować wielokrotnione odbicia numeru katalogowego, ale i osób zwiedzających. A te fotografie przedstawiają zwykłe życiowe sytuacje, w których mogłem być inwigilowany: pusty pokój pracy, scenki z wakacji, szuwarek, łódka, portrety przyjaciół, z którymi spędzałem czas, stacja kolejki WKD, z której dojeżdżam do Warszawy. Spodziewam się, że to może wypełniać moją teczkę, że mogą być zapiski typu: widziałem figuranta na stacji itp. A dlaczego użyłem nagrobkowych, porcelanowych płytek – bo w naszej tradycji świadczą one o zachowaniu pamięci. A przecież te zapisy w teczkach także jakoś utrwalały kadry z naszego życia.

J.R. – Czy, jeżeli otrzyma pan swoją teczkę w czasie trwania wystawy, wzbogaci pan nią tę instalację?

J.K. – Na pewno tak. Żałuję, że jej jeszcze nie mam.

J.R. – Jakie mogą być skutki znalezienia się na tzw. liście?

J.K. – Nie chciałbym, żeby patrzono na mnie w środowisku przez pryzmat tej listy. Nie chciałbym, aby ktoś pomyślał, że jestem ubabrany, a chodziłem przez lata w glorii: nagrody Związku Artystów Plastyków (którą dostałem z Andrzejem Bieńkowskim) za moją postawę w stanie wojennym, nagrody „Solidarności” za realizację poświęcone kulturze niezależnej, nagrody Brata Alberta za wkład w sztukę sakralną. Nie

chciałbym, żeby ktoś pomyślał – on stale poruszał się w kręgach kościelnych i opozycyjnych, a on był agentem, bo jest na liście. Takie rozmówienia mogą powstać po tym, jak przedstawiano tę listę w największej gazecie. Ktoś może sądzić, że donosiłem na te kręgi, w których się poruszałem. Przecież byli ludzie bardzo zdolni, bardzo utalentowani, którzy okazali się kanalami, donoszącymi na swoich kolegów. Dlatego złożyłem podanie o swoją teczkę. Uważam, że wszystko musi być wyjaśnione. Tu chodzi o moją godność.



Jerzy Kalina – ur. w 1944 r. Absolwent wydziału malarstwa warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych (dyplom w 1971r.), rzeźbiarz, scenograf teatralny i filmowy, twórca instalacji, akcji, filmów animowanych i dokumentalnych, widowisk teatralnych, jeden z pierwszych performerów w Polsce, laureat licznych nagród.



Fot. L. Rysak

Fragmenty instalacji Jerzego Kaliny „Martwe tusze”,
Galeria „Pokaz”, Warszawa, marzec 2005